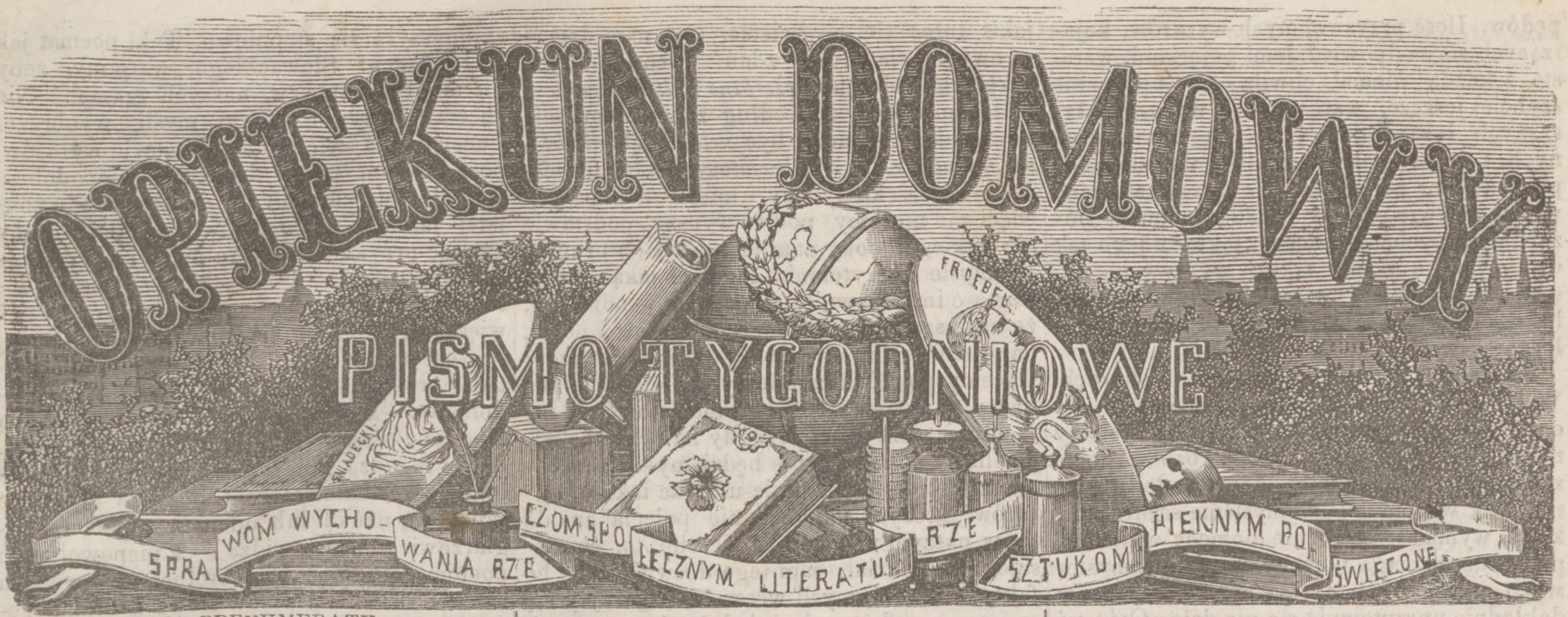
Nr. 3. Warszawa, dnia 9 (21) Stycznia 1874 roku. Rok X. — SERYJA 3-ia.



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

Warszawie z odnoszeniem do domu:	na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:
rocznie .... rs. 3 kop. 60	rocznie .... rs. 5
półrocznie ...... rs. 1 „ 80	półrocznie ...... „ 2 kop. 50
kwartalnie ...... „ 90	w Austryi rocznie 9 guldenów
miesięcznie ..... „ 30	w Prusach „ 5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Sroda.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* u Wilda Karola; *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; *w Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego.

Numer pojedyńczy kop. 10.

WYRAZY I POJĘCIA.

Zasłużony psycholog francuski ks. Bautain wypowiedział następujące zdanie: „Dziecko nie myślałoby, gdyby nie mówiło—nie mówiłoby zaś, gdyby niesłyszało mówiących.“ Jest w tym zdaniu wiele przesady, ale więcej jeszcze prawdy. Przesada polega na tym, że autor *myśl* nierozłącznie wiąże z *mową*. Na szczęście z jednej, na nieszczęście z drugiej strony, tak nie jest. Głuchoniemi od urodzenia, myślą jednak; myślenie obrazowe, zastępuje u nich miejsce myślenia wyrazowego. Posiłkują się wprawdzie także znakami, symbolami pojęć, uzmysławiając myślenie wyobrażeniami ruchów mimicznych—ale pomimo to nie ulega kwestyi, że w pewnym zakresie, mianowicie w zakresie wyobrażeń zmysłowych i na pół zmysłowych, myślenie obrazowe, bez wewnętrznego wymawiania w myśli wyrazów —wystarcza do ożywienia cielesnej naszej maszyny promieniem myśli. Każdy ktokolwiek przywykł zdawać sobie sprawę z własnych czynności wewnętrznych, z łatwością zauważyć może, że zasypiając, przestaje myśleć wyrazami, i że natomiast w myśli jego przesuwają się wyrazistsze szeregi i zestawienia czysto obrazowych marzeń, stopniowo blednących i tracących spójnią logicznej zależności. Już z powyższego spostrzeżenia można wnosić, że ten ostatni rodzaj myślenia tylko mniej dokładnym jego formom odpowiada i że myślenie ścisłe, dokładne, jedynie przy pomocy odpowiednich wyrazów przejawiać się może. Wyrazy porządkują niejako treść fantastyczną marzenia, nadając każdemu jego ogniwu *stałą* cechę, łącząc je w sposób odpowiadający gramatycznej i logicznej naturze mowy ustnej—a co najważniejsza ułatwiając wprowadzenie do rozwoju myśli, pojęć niezmysłowych, pojęć ogólnych, takich jak część, całość, stosunek, jakość, ilość, konieczność i t. p., które bez pomocy wyrazów jasno wyobrazić się nie dają. Bądź co bądź, na szczęście dla głuchoniemych, pewien rozwój myśli i bez znaków mowy ustnej jest możliwym. Ale z drugiej strony i to, jak wspomniałem, na nieszczęście, istnieją jeszcze inne fakty, świadczące, że zależność myśli od wyrazów, nie jest bynajmniej tak konieczną, tak nieuniknioną, jakby to ze słów francuskiego psychologa wnosić należało. Znamy mnóstwo wyrazów, których nie rozumiemy, a których pomimo to używamy; mamy myśli a nie mamy do nich odpowiednich wyrazów—lub wreszcie niedokładność jednych i drugich wyradza w nas pewne niejasne zestawienia dźwięków bez treści, zdań bez myśli, tak zwanych pustych frazesów; któremi nieraz z pełną wiarą w ich wartość i głębokość posługujemy się w rozmowach i pismach. Skąd pochodzi tak smutne następstwo swobody słowa i myśli? Skąd ten nienaturalny rozbrat wewnętrzny pojęć i wyrazów?

Przyczyny, jak zawsze, leżą ukryte w przeszłości. Dziecko od pierwszej chwili życia zdobywa sobie wiedzę o świecie, który je otacza, zdobywa ją doświadczeniem własnym. Ale doświadczenie to postępuje bardzo powolnie. Tymczasem otaczający witają—zaledwie płakać i śmiać się umiejącą dzicinnę tysiącznemi dźwiękami mowy. Ileż wyrazów obije się o jej uszy zanim jest w stanie choćby niektóre z nich zrozumieć. Później oswaja się z niemi stopniowo; dźwięk i pewnych wyrazów zaczynają się kojarzyć umyśle dziecka z wyobrażeniami pewnych rzeczy. Przez częstość powtarzania, skojarzenia te utrwalają się i nabierają siły. Wyraz budzi odpowiednie pojęcie—pojęcie odtwarza odpowiedni wyraz. Dźwięk jego z całą siłą uprzytomnia się w umyśle dziecka, podrażnia nerwy kierujące organem mowy—i dziecko naśladując, wymawia wyrazy. Słysząc poraz pierwszy własne słowa, doznaje dziwnego bo nowego wrażenia, które je bawi i do nowych prób zachęca. Wtedy, ku wielkiej radości rodziców a ku udręczeniu obojętnych osób, powtarza bez ustanku też same wyrazy i wprawia się w uzewnętrznianie swych po

---

ŚLADY ŻYCIA.

III.

Tyle życia, ile... w czynie.

Komukolwiek nie są obcemi prowincyjonalne a w szczególności małomiejskie stosunki, ten wie zapewne, jak to ciężkie warunki towarzyszą życiu średnio-urzędniczéj warstwy. Skromna stosunkowo płaca, brak pola do pozyskania, obok zajęć obowiązkowych, jakiegoś godziwego zarobku, liczna przytym i z niezliczonemi potrzebami rodzina; wszystkie te okoliczności, jak z jednéj strony życie średniego urzędnika zmieniają w bierną jedynie wegietacyją, tamującą wszelki, na sprawy ogólniejszego znaczenia pogląd, obezwładniającą wszelką dążność do żywszego czynu; tak z drugiéj znów, w naglących potrzebach chwili, oddają go zazwyczaj w ręce miejscowego lichwiarza. Warunki i okoliczności powtarzamy podobne utrzymują tym sposobem całe setki ludzi w zaklętym kole codziennej apatycznej biedy.

Do niedawna jeszcze, zdawało się, że zmiana takiego stanu rzeczy jest niemożliwą. Gdy atoli kiełkujące coraz żywiej w łonie naszego ogółu świeże i postępowe pojęcia poczęły się wreszcie mięszać i z duszną atmosferą partykularzy, gdy duch ekonomicznéj samopomocy począł i tam, jakkolwiek nieość wybitnie przenikać, wtedy i prowincyjonalne urzędnicze koła ujrzały dla siebie praktyczną drogę wyjścia, drogę polepszenia materyjalnego i moralnego bytu, polegającą przedewszystkim na wytwarzaniu zjednoczonemi siłami własnych instytucyj kredytowych. Jakoż urzędnicy powiatu *Nowo-Mińskiego* zawiązaniem własnej *wkładowo-pożyczkowej kasy* pierwsi na tym polu dali praktyczny przykład i co więcej przykład działający zbawiennie, bo popychający inne również miejscowości na drogę tyle pożądanego naśladownictwa. Tak np. w Miechowie, Włocławku i innych powstała myśl utworzenia czegoś podobnego u siebie, co też o ile nam wiadomo, bliskim już jest rzeczywistości. Obecnie zaś, jak nam donosi jedna z korrespondencyj kieleckich, i tam także obok zawiązującego się stowarzyszenia spożywczego i kasy wkładowo - zaliczkowéj pod nazwą „Wzajemna pomoc” ułożoną nadto już została „ustawa kasy zaliczkowo-wkładowéj dla urzędników gubernii kieleckiej” i takowa „dzięki energicznemu zajęciu się osób wpływowych wkrótce posłaną zostanie do zatwierdzenia”. Fakty podobne sąto prawdziwe „ślady życia” prowincyi; przyklaskujemy im też zgóry i obyśmy ich tylko jak najwięcej notować mogli!

* * *

Że umysłowe życie prowincyi wydobywać się już zaczęło z powijaków ciemnoty, że ogólny wzrost naszych potrzeb duchowych poczyna już i tam nareszcie przenikać, posłużyć mogą między innemi za dowód, zawiązujące się *kółka czytelnicze*. Kółka takie

pędów. Ilość przyswojonych wyrazów, kojarzących się z odpowiedniemi pojęciami, wzrasta z każdą niemal chwilą—ale nierównie szybciej jeszcze, wzrasta ilość wyrazów słyszanych i zapamiętanych, ale nierozumianych, t. j. niekojarzących się w umyśle z odpowiedniemi pojęciami. Te to nierozumiane w dziecińśtwie wyrazy brużdżą nam w późniejszym życiu. Zobaczmy jakie, z tego tak drobnego na pozór faktu, wypływają następstwa—i jaki wywierają wpływ na ogół ludzkiej wiedzy, i wszystkie przejawy społecznego życia...

Streścimy je w najkrótszych słowach. W tak zwanej koronie nauk, we filozofii, do ostatnich niemal czasów panowały systemy niemieckich myślicieli, które rozbrat pojęć z wyrazami do ostatnich doprowadziły granic. Jak wspomniałem, myślenie ścisłe, naukowe, wymaga koniecznie pomocy wyrazów, ponieważ wymaga pomocy pojęć niezmysłowych, pojęć ogólnych—a te bez wyrazów dokładnię uprzytomnić się nie dają. Otóż tej to właśnie pomocy nadużyli filozofowie niemieccy. Widząc, jak dalece układ wyrazów zmienia treść myśli, nadając jej często pozór lub wartość nowości, zapominali stopniowo o pojęciach, zatopiwszy myśl w wyrazach, które zestawiali, ba! nawet tworzyli bez miary w sposób coraz to dziwaczniejszy i oryginalniejszy.

W ten sposób niezaprzeczone zdolności gienijalnych ludzi marnowały się na błyskotliwą zabawkę słów, któremi grano jak w domino, tworząc coraz to nowsze zestawienia. Dopóki jeszcze takie *oderwane* (wyraz ten doskonale rzecz maluje), od rzeczywistości odstrychnięte wyrazy, wychodziły z ust samego mistrza, który bądź co bądź musiał w umyśle swym pewne odpowiadające im pojęcia posiadać, dopóki żywe słowo, mocą przeróżnych odcieni i nacisków głosu, zdaniom tym życie i treść nadać umiało, dopóty każdy co miał i co mógł ze swych pojęć pod usłyszane wyrazy podstawiał—i nieraz jedno i toż samo zdanie choć najrozmaitszemu ulegało wykładowi — zawsze tłomaczonym było i rozumianym. Gdy jednakże sztuczne podpory opadły, gdy dźwięku wyrazów nie miał kto ożywić siłą wewnętrznego przekonania—wówczas ujrzano wiele zdań owych ogołoconych z wszelkiej treści i zaledwie ulegając nałogowi pozwalano im jeszcze czas jakiś tułać się po świecie. Cóż nam dzisiaj z owych sławnych zdań Trentowskiego, w których objaśniał *przeróżne rodzaje nicestwa?* Cóż nam z tego, że według zapewnienia mistrza, *nicestwo* może być *cielesne* lub *niecielesne, światowe* lub *przedświatowe, boskie* lub *niebosko-boskie*, kiedy my, mimo najlepszych chęci nie możemy pod te wyrazy podstawić nic takiego, coby nam te wielkie (!) prawdy w umyśle uprzytomnić mogło i jakąkolwiek wartość im zapewnić? Powiadamy poprostu, że nas oszukano, że zamiast wyrazów i pojęć, dano nam same wyrazy. Cóż nam z tego? Chcemy pojęć! Rozumiemy opowiadanie podróży po Afryce, choć tam mowa o wielu takich rzeczach, których nigdy na oczy nie widzieliśmy i widzieć nie będziemy—ale ro zumiemy je, bo autor umie używać takich wyrazów, którym odpowiednie pojęcia znajdą się w naszym umyśle. Umie, bo to, co opisuje, sam widział, sam tego doświadczał, bo fakty, stosunki, myśli wreszcie, kojarzyły się w jego umyśle z odpowiedniemi wyrazami. Czemuż nie rozumiemy oderwanych wywodów Trentowskiego, albo raczej czemu tak mało mogą one mieć dla nas wartości? Bo autor więcej słyszał niż widział, więcej czytał niż obserwował, więcej mówił niż pojmował... Wyrazy wzięły górę nad pojęciami, forma nad treścią. W tym całe nieszczęście; nieszczęście, którego zarodki w dziecińśtwie jaszcze powstały. Oj, te przedwcześnie słyszane wyrazy, te przedwcześnie czytane książki, ta nieszczęsna przewaga pamięci nad spostrzeganiem, wyobraźni nad doświadczeniem, przejętych myśli nad zrozumianemi faktami, samowoli słowa nad wewnętrzną zależnością treści!...

Od czasu kiedy postęp pedagogiki wypędził ze szkół i z domu barbarzyńskie metody obciążania pamięci, przedwczesnej retoryki i bezmyślnych ćwiczeń dyjalektyki —od czasu kiedy za niewzruszoną zasadę początkowego nauczania uznano konieczność postępowania od faktów do pojęć ogólnych, kiedy potępiono zbyt wczesną naukę czytania a natomiast wprowadzono metodę okazową —kiedy wszystkie nabywane wiadomości zaczęto uzmysławiać przedmiotami lub obrazami, usuwając niezrozumiałe dla dziecka deklamacyje i górnolotną choć pustą wymowę: —od tego czasu, mówię, skłonność do oderwanych filozoficznych i poetycznych marzeń zmniejszyła się stopniowo. Taki poemat jak „Król Duch“ Słowackiego, wątpimy, żeby już mógł powstać w naszych czasach. Nie chcemy zużywać potęgi myśli, wyobraźni i uczucia na świetne kombinacyje wyrazów, poza-któremi pojęć dopatrzyć niepodobna. Ale nie potrzebujemy aż do utworów wybujałej fantazyi gienijuszów zaglądać, ażeby znaleść przykład rozbratu pojęć i wyrazów—życie codzienne, towarzyskie i społeczne dostarczy nam ich na każdym kroku. Gdzież więcej deklamacyi i komedyi? Gdzie mniej ścisłości i rozwagi! Wyraz—to wielki, potężny środek którym pokrywamy nasze niedołęstwo—którym mężowie stanu uspakajają zburzone tłumy—którym żona podbija męża, dzieci łagodzą gniew nauczyciela—który salonowym deklamatorom pozwala błyszczeć szychową nauką lub udanym zapałem—kuglarzowi tumanić widza — a niepowołanym poetom daje moc wielokrotnego rozrywania serca i ciskania gromów słowa w braku rzeczywistych gromów myśli. Błogosławionym niech będzie ten wielki dar mowy, który nas od zwierząt wyróżnia, a który nam pozwala tyle pięknych dni życia, tyle wieczorków towarzyskich zapełnić szumem bezmyślnej rozmowy i bezmyślnych konwenansów! Jakże ciężkim byłoby życie, gdybyśmy musieli wiecznie wiązać tylko dokładne wyrazy z jasnemi pojęciami, mówić tylko o tym, co dokładnie znamy, wyjawiać tylko to, co czujemy! Nie! taka ścisłość mowy jest niemożliwą do osiągnięcia—i kto wie nawet, odważę się to powiedzieć, czyby była w życiu pożyteczną i pożądaną. Pewien stopień nieścisłości w życiu zawsze powstać musi—pewna liczba złudzeń jest nam potrzebną do szczęścia. Ale myliłby się bardzo, ktoby sądził, że tak jak jest dziś—jest dobrze. Niestety, *dowolność* słowa panuje jeszcze w najlepsze, jako prosty, choć przejściowy tylko rezultat *wolności* słowa. Frazeologija kwitnie i w polityce, gdzie zapewne najdłużej się utrzyma i w życiu społecznym i w towarzyskim. Poeci nasi niemal przestali wypowiadać własne uczucia —a natomiast bawią nas kombinacyjami sztucznie zestawionych scen i dźwięków, naśladowanych i przerabianych. Żywe źródło prawdy nie tryska z tych szumno-brzmiących zapewnień, prawdziwe uczucie nie ogrzewa tych napuszonych dźwięków, pękniętych serc, nieprzebranych rozpaczy i papierowych

---

istnieją już w kilku miejscowościach, obecnie zaś dowiadujemy się, że obywatele ziemscy z okolic Pułtuska złożyli po 15 rs. w celu zakupienia książek, które po przeczytaniu mają zostać rozlosowane pomiędzy uczestników kółka. Nadto, o ile słyszeliśmy, myśl urządzenia czegoś podobnego istnieje już w wielu pomniejszych nawet miasteczkach, a przy usilnym krzątaniu się miejscowych inteligentniejszych jednostek, niepodobna wątpić o przeprowadzaniu myśli podobnéj w rzeczywiste i coraz rozleglejsze życie. Inteligencyja zresztą małomiasteczkowa rozumie to zapewne dobrze, że upowszechnianie tego rodzaju kółek, upowszechnianie raczéj w ten sposób czytelnictwa, jak z jednej strony stać się może jednym z najdzielniejszych czynników, szerzenia oświaty tak z drugiéj znów czynny i bezpośredni tu udział, zjednywa jéj w oczach kraju rzeczywistą i niezaprzeczoną zasługę.

Dotychczas atoli kółka czytelnicze, jak nam opowiadano w punktach zwłaszcza pozbawionych ułatwionéj komunikacyi kolejowéj, doznawały wiele trudności w sprowadzaniu czasopism i książek. Dziś jednak gdy *spółka kolportacyjna warszawska*, rozwinąwszy swoję działalność, ze pośrednictwem ajentów, trudności tego rodzaju łatwo usunąć może, jesteśmy niemal pewni, że każdy najciaśniejszy zakątek, każde miasto i miasteczko swoim kółkiem czytelniczym wkrótce cieszyć się będzie.

* * *

W zeszłym numerze mówiliśmy pod tą samą rubryką o smutnych losach prowincyjonalnego teatru bawiącego obecnie w Siedlcach. Nieradność i nietrafność w wybieraniu sztuk ze strony dyrekcyi, a kamienna obojętność ze strony publiczności:— oto obaz stanu rzeczy. Nie wiele lepiej dzieje się i w innych miastach prowincyjonalnych pomimo względnej lepszości artystycznego składu. Publiczność piotrkowska nielicznie zgromadza się na przedstawienia trupy p. Ratajewicza, chcąc zapewne dać światu do zrozumienia, że widziała już lepsze rzeczy i tym samym ma wybredniejsze estetyczne wymagania. Zapomina tylko prowincyjonalna inteligencyja, że poparcie może wpłynąć na podniesienie sceny, że w miarę podawania materyjalnych środków mogłaby wpłynąć i na samę dyrekcyją, która niewątpliwie zastosowałaby się do rozumnych wymagań z obopólną stron korzyścią i ogólnym pożytkiem.

W serdecznych słowach podnosi „Tydzień” piotrkowski powyższą kwestyją, do której szłusznie ważne przywiązuje znaczenie.

* * *

„Tydzień” bezzaprzeczenia najlepiej jest redagowanym ze wszyttkich naszych pism prowincyjonalnych. Już sam pobieżny przegląd artykułów zamieszczonych w tym czasopiśmie w r. z. przekonywa wymownie o staraniach i gorliwości redakcyi. Jakiż to przykład, dajmy na to dla „Kaliszanina,” który stosunkowo w daleko lepszych znajduje się warunkach. Nie mówimy tego bez pewnych danych,— albowiem „wiedzą przecież sąsiedzi, jak kto siedzi,” wiadomo nam więc kategorycznie, że w Kaliszu jest liczniejszy dobór inteligencyi. Poszukawszy dobrze mianowicie w składzie urzędników sądowych, możnaby wynaleść dosyć zdolnych pracowników pióra, mogących spożytkować swe siły dla prawdziwego a tak ważnego dobra prowincyjonalnej prasy. Gdyby tylko nie koteryjne niechęci i wyziérająca ze szpalt Kaliszanina apatyja samej redakcyi!

* * *

Zarzucamy apatyją redakcyi Kaliszanina,— cóż dopiero powiedzieć o „Kuryjerze Lubelskim?”

Panowie z Kuryjera Lubelskiego! jeśli już nie rozumiecie, co to jest dobro publiczne!, zrozumiejcież przecie, co jest handel i osobisty in-

gromów rzucanych na wiek nasz i na ludzkość całą. Od dzikiej, szorstkiej ale naturalnej mowy przodków, zrobiliśmy postęp nie mały. Słowa nasze leją się kaskadą pereł i kwiatów, najmniej natchniony wieszcz umie pieścić ucho i rymem i rytmem, najmłodszy opiewa boleść rodzicielską doborem najokropniejszych wyrazów, najstarszy wiekiem wylewa żar miłości kwileniem słowika, najleniwszy piorunuje na próżniaków i pieczeniarzy—a we wszystkim tym poza wyrazami niewidać nic—nic nas nie chwyta za serca, nic nie przemawia do rozumu—bo wiemy jak mało w tych tęczach i gromach *prawdy*, jak mało *życia*. Sztuka układania wyrazów—i nic więcej. Z drugiej strony, iluż to ludzi olbrzymiej nauki spotkać można, którzy społeczeństwu żadnej nie przynoszą korzyści, dlatego tylko, że tego co wiedzą, nie umieją ubrać w odpowiednią szatę słowa. Nieprzywykli, bo nie przyuczeni w dzieciństwie jeszcze do jasnego i systematycznego wypowiadania własnych myśli, marnują liczne skarby wiedzy, albo zupełnie zasklepiając się w sobie z obawy ostrej krytyki, albo wreszcie wydają na świat chrome okazy swych mysli, które dopóty tylko są jasne i systematyczne, dopóki w głowie twórcy przebywają;—na piśmie, tu i owdzie powstają wyrazy fałszywie rzecz malujące, tu i owdzie niemalujące nic zgoła—bo autor zamknąwszy się w sobie, nie czuje tego co ogół czuje, stworzył sobie sam własny język, który dla niego może być symbolem jasnym i dostatecznie zrozumiałym, ale dla innych pozostaje nieodcyfrowanym hijeroglifem.

I te i owe objawy, nie mogą być godne uznania. Ale co począć, jak im zapobiedz, jak usunąć ten pusty dźwięk nieużytecznych frazesów—a wszystkim jasnym pojęciom, gdziekolwiek one powstaną zapewnić wyrazową wymianę na rzecz postępu?

Trzeba zacząć od podstaw.

Dziecko powinno *ile możności jak najmniej słyszeć takich wyrazów, których zrozumieć nie jest w stanie*.

Ucząc się, powinno zbogacać pamięć *rozumowo, nie zaś mechanicznie*.

Powinno stopniowo wprawiać się w samodzielne *wypowiadanie własnych, dobrze rozumianych myśli*.

Powinno cały postęp swój opierać na *spostrzeżeniach, doświadczeniach i własnym rozmyśle*.

W rozmowach towarzyskich i wystąpieniach publicznych *winniśmy karcić wszelką frazeologiją, poza którą nie znać silnych i jasnych przekonań*.

Wreszcie, jeden jeszcze obowiązek, zdaniem naszym, winien przypaść w udziale wszystkim *pismom peryjodycznym*, które stosunek swój do społeczeństwa zrozumieć zechciały:—oto powinny jak najczęściej w oddzielnych artykułach rozbierać pojedyńcze pojęcia, ustalać ich treść i zakres, ażeby tym sposobem najskuteczniej przyczyniać się do rozwinięcia w społeczeństwie *jasnych i silnych przekonań*. Niech wyrazy i pojęcia połączy mocny węzeł jedności i zgody, niech w umysłach naszych zapanuje jasność i trzeźwość, a w mowie prawda i siła. Wtedy zdobycze oświaty szerszym roztoczą się strumieniem, wiedza stanie się powszednim chlebem naszym—a rozwój jej posuwać się będzie naprzód powolnym lecz pewnym krokiem postępu.

NIEZNAMIEROWICE I STUDZIANNA.

PRZEZ

Kornelego Kozłowskiego.

(Ciąg dalszy).

Poza Kamienną Wolą, droga wiodąca przez Ossę i Brudzewice ku Studziannemu piaszczysta, sierpniowy skwar dopieka; okryci znojem i kurzawą, z odkrytemi głowami, z dalekich stron, od Radomia, Kozienic, Warszawy i Łomży, idą pobożni ludzie z modlitwą i pieśnią, nieutrudzeni w czci Maryi. Gdy wyszli z lasku za Brudzewicami, ukazały się im kopuły i krzyże studziańskiego kościoła;—długie westchnienie pełne czci i głośny okrzyk uwielbienia, wybiegł z ich piersi utęsknionych i uprzedził przybycie pielgrzymów w święte progi. I rozległa się piękna choć monotonnie—jak sznurek pereł wyspiewana, litanija do Matki Boskiej, odezwały się z wyniosłych kopuł dzwony,—i uroczyście, przy dźwięku muzyki, z krzyżem i chorągwiami wyszedł na drogę ksiądz dla przyjęcia wiernego ludu, przychodzącego pokłonić się w studziańskim kościele królowej Niebios.

Wspaniała jest świątynia, do której nietylko od tej strony, ale i innemi drogami z różnych okolic kraju dążą wierni. Styl budowy może nietyle poprawny, ile imponuje ogromem;—front zdobny niszami w których posągi świętych,—na transumpcie wielka i piękna kopuła, z której światło na cały kościół się rozlewa. Podzielony jest kościół na trzy nawy i wymiarami równa się prawie Święto-Krzyskiemu w Warszawie. Obok prezbiteryjum zakrystyja, malowidłami na murze zdobna, między któremi portrety czterech prymasów: Mikołaja Prażmowskiego, Teodora Potockiego, Krysztofa Szembeka i Antoniego Ostrowskiego.

Wielki ołtarz w stylu renaissance, zbudowany został, jak się zdaje, w r. 1776, w którym kościół studziański pobobno ostatecznie ukończono, a razem i odrestaurowano. W tym to ołtarzu mieści się cudowny obraz św. Rodziny, niewielkich wymiarów, któryśmy powyżej opisali, pokryty cały sukienkami grubo srebrem haftowanemi, które, prócz twarzy i rąk, całe zresztą malowidło zakrywają.

Jako godny uwagi, pokazano mi tu obraz św. Filipa Nereusza, srebrnym ornatem misternie wyrobionym pokryty,—widziałem też parę niezgorszych malowideł. Wogóle jednak, prócz samej budowy imponującej i wspaniałej, obrazu cudownego, oraz portretów naturalnej wielkości Jana Zbąskiego, biskupa warmińskiego i Zofii Anny Starołęskiej kasztelanki żarnowskiej, fundatorów tutejszych, niéma innych osobliwości w tej świątyni.

Pod kościołem są obszerne pieczary, gdzie jest mnóstwo ciał dobrze się przechowujących, w trumnach bez ładu nagromadzonych. Oddzielnie od tych, w miejscu pod wielkim ołtarzem, wymurowany jest grób dla zwłok, jak utrzymują, Zofii Anny Starołęskiej,—wszakże trumna wyjęta i popioły jej każdemu, podziemia te zwiedzającemu, pokazują. Co do mnie wyznaję, iż nie chciałem kłócić spokojności należnej szczątkom zacnej i świętobliwej fundatorki. Sarkofag w kształcie przepysznej trumny z czarnego marmuru, bardzo kunsztownie wyrobiony, ale także przez niegodne ręce już uszkodzony, ma na sobie napis: „Franciscus Hieronymus a Granow Granowski 28 Febr. 1735”,—na wieku trumny wyryty herb Leliwa, w nogach wypukło z białego marmuru rzeźbiony Hab-

---

teres. Czyż już niéma nikogo w waszym mieście, ktoby potrafił pisać, choć trochę lepsze sprawozdania teatralne;—czyż nie macie na sercu nic pilniej interesującego nad *dzieje węgierskie?*

Więcej ożywienia, więcej zainteresowania się sprawami miejscowemi, więcej wreszcie chociaż takich korespondencyj jak p. Szweda, a wtedy może ludzie zaczną czytać waszę gazetkę anonsową.

* * *

Niedawno wspominaliśmy o odezwie, zapowiadającej *ostatni rok próby* „Ekonomisty”, obecnie przychodzi nam zanotować również fakt smutny. W ostatnim numerze „*Tygodnika Przemysłowo-Handlowego*” spotykamy wiadomość o *zawieszeniu* tegoż wydawnictwa. Widocznie nad pismami techniczno-przemysłowego kierunku ciąży u nas jakieś nieubłagane fatum. I nie dziwilibyśmy się temu bynajmniej, gdyby to się działo przed laty np. kilku, gdyby pisma stojące na straży najważniejszych interesów kraju, doznawały niepowodzenia wówczas, kiedy się podobnemi rzeczami mało zajmowano. Dziś jednak, gdy poczynamy bądź co bądź wchodzić na drogę zdrowej ekonomicznej pracy, objawy tego rodzaju zdają się być niewytłomaczoną zagadką. Wracając do Tygodnika Przemysłowo-Handlowego, mimowoli wznawia się pytanie, dlaczego wydawnictwo to zawieszone zostało? Czybyśmy mieli zadużo pism tego rodzaju? Przeciwnie, Tygodnik na kraj cały był tu organem jedynym. Czyby może „Tygodnik” nie spełniał należycie swego zadania? Ależ krytyka niejednokrotnie wyraziła już co do tego zdanie korzystne, uważając Tygodnik za pismo nieschlebiające żadnym uprzywilejowanym koteryjom, a traktujące natomiast najżywotniejsze kwestyje z dziedziny przemysłu i handlu, bezstronnie i z myślą obywatelską. Czyżby kwestyje, dotyczące przemysłu i handlu, miały być dla ogółu naszego rzeczą obojętną? Ależ i tu bezstronny obserwator powiedzieć musi przeciwnie, sprawy przemysłu i handlu budzą coraz żywsze zajęcie, uwaga publiczna coraz wyraźniej w tym kierunku się zwraca.

Niestety jednak, o ile kwestyjami *takiemi* bliżej poczyna się interesować ogół, o ile coraz wyraźniej spostrzega straty, jakie poniósł w zaniedbaniu przemysłu i handlu, o tyle znów nasz świat przemysłowo-handlowy, nie stara się bynajmniej o nagrodzenie strat tych w czerpaniu nauki, w posiłkowaniu się światłem teoryi, w nabywaniu tym sposobem rozleglejszych ekonomicznych poglądów i wprowadzeniu specyjalnej swej pracy na drogę istotnego postępu. Jak większość naszych przemysłowców — niemców czyta pisma, naturalnie niemieckie, tak większość naszego kupiectwa, nie chce zerwać z zapleśniałą rutyną, nie chce spojrzeć częściej na stosunki handlowe, nie chce wiedzieć co się poza sferą jego kantorów dzieje. Dla większości tej dostatecznym jest przejrzenie kursów giełdowych, o resztę mniejsza... A jednak czy tak być powinno? Czy na 2000 samych kupców gildyjnych jedyny poważniejszy organ handlowy nie powinienby znaleść odpowiedniego poparcia? Doprawdy więcej jak smutny to „ślad życia” (?). Czy daleko i gdzie po tej drodze zajdziemy? Wstrzymać się wolimy nateraz z odpowiedzią. Wolimy raczej wierzyć, że przerwa w wydawnictwie Tygodnika Przemysłowo-handlowego nie potrwa długo, że postępowa przynajmniej część naszego kupiectwa, nie pozwoli, by jedyny *własny* jej organ miał upaść. Wszak prawda panowie przemysłowcy-tuziemcy i kupcy-*prawdziwi?*

* *

Mimo że pisma specyjalne niełatwo zdobywają sobie warunki bytu, czego smutnym do-

pank. Powiadają, że w trumnie tej są zwłoki niewieście, ale napis na wieku z datą śmierci i herb Granowskich Leliwa, mówią wyraźnie co innego. Sąto szczątki Franciszka Hijeronima Granowskiego, starosty gostyńskiego, jenerała arkebuzyjerów królewskich, dziedzica w tych stronach dóbr Odrzywoła, Wysokina i Zdziaru, który miał za żonę Maryjannę hrabiankę na Lipiu Lipską wojewodziankę Kaliską, a ojcem był Kazimierza Wojewody Rawskiego, jenerała lejtnanta i kawalera orderów, i Teodora kanonika Krakowskiego, Archidyjakona chełmskiego, proboszcza infułata krzemienieckiego.

Jest tu także trumna, w której spoczęły zwłoki szlachcica, przystojnie na ten wieczny spoczynek przyodziane. Kontusz granatowy sukienny, pod którym żupan atłasowy, bladożółtego koloru, buty spiczaste safijanowe, zapewne kiedyś czerwone, pas bogaty drzewickiej fabryki. Otóż opowiadają, że ktoś ze zwiedzających połakomił się na ten pas, ściągnął nieboszczykowi i sobie go przywłaszczył. Ale wizyje okropne zaczęły go prześladować, nieboszczyk sam o swą własność przychodził się dopominać. Wkrótce zjawił się w zakrystyi tutejszej przywłaszczyciel, dał na mszę św. za umarłych i zwrócił pas, który nieboszczykowi w trumnę na zwłokach położono.

Z tyłu poza kościołem ciągnie się długi, piętrowy budynek, będący dawnym klasztorem księży Filipinów. Dziś budynek ten świeci pustką,—smutno tu, zimno,—wiatr wieje po korytarzach pełnych dziur. Cały rząd komnat stoi pustką—w jednej mieści się dziś Urząd gminy, w dwu czy trzech mieszka komendarz spełniający obowiązki proboszcza,—zresztą całemu budynkowi grozi w niedalekiej przyszłości ruina, a jak w obecnym stanie rzeczy, zagraża toż samo i kościołowi, nie mającemu żadnego funduszu, mogącego zapewnić utrzymanie gmachu tak wielkiego.

W pewnej odległości od kościoła, na wzgórku, stoi kaplica św. Anny, w której czasowo przed wybudowaniem kościoła, pomieszczony być miał święty, a dalej jeszcze, między budynkami gospodarskiemi, w miejscu gdzie niegdyś stał dwór, w którym mieszkali Starołęscy, jest kościół św. Józefa, tak zwany mniejszy, mający trzy ołtarze, w którym jest zawieszony duży obraz nienajgorszego pędzla, przedstawiający pierwsze na tym miejscu objawienie się ubogiemu mularzowi Najświętszej Panny.

Opuszczając Nieznamierowice Starołęscy, przenieśli do Studziannego i obraz święty, w którego dziwną moc coraz powszechniej wierzyć już zaczynano. Opowiadano o cudownym oswobodzeniu go z niewoli szwedzkiej i powróceniu się w dom Starołęskich,—skuteczność modlitwy przed obrazem tym zaczęła się rozgłaszać,—Starołęscy wierzyli sami mocno i wiarę pomiędzy ludźmi utwierdzali.

W r. 1660 ksiądz Kazimierz Odrzywolski reformat, złożony chorobą, miał widzenie,—miała mu się pokazać Matka Boska i oznajmić, że Bóg przez obraz we dworze Studziańskim znajdujący się, wiele lask całemu światu miał wyświadczyć. Około tegoż czasu, zajechał do Starołęskich do Studziannego ksiądz Kurdwanowski, niegdy kasztelan zawichoski, wielką w drodze przyciśniony pedogrą. Zastał tam krewniaka Starołęskich Podlodowskiego, który mu opowiedział o widzeniu Odrzywolskiego i o łaskach po wielekroć u obrazu w kaplicy znajdującego się doświadczonych. Ksiądz Kurdwanowski człowiek przedtym światowy, nie uwierzył,—powiada:

— Dopiero wtenczas uwierzę, jeżeli jutro rano wstawszy, mszę ś-tą odprawię przed obrazem.

A cierpiąc mocno na pedogrę, utrzymać się na nogach nie mógł.

Nazajutrz wszakże wstał, mszę św. odprawił. Zrobiło to wrażenie,—poszedł stąd rozgłos jeszcze większy.

Tymczasem pan Żarnowski, jak nazywano kasztelana, po śmierci żony, zaszłej około r. 1663, często bardzo wyjeżdżać zaczął z domu—i dwór w Studziannym z tego powodu nieraz był prawie pusty; służba jednak trzymała się od przyjazdu pańskiego. Zdarzyło się raz, a było to przed Bożym Narodzeniem w r. 1664, iż potrzeba było przestawić w pokojach piec; posłano po mularza, starego Wojciecha we wsi Smardzewicach mieszkającego, który jednak rozpocząwszy robotę, rozchorował się. Dano mu posłanie w stołowym pokoju, w którym wisiał na ścianie ów obraz Świętej Rodziny ucztującej—i tutaj miał on owo znane powszechnie z tradycyi i pieśni ludu objawienie, tak pięknie opowiedziane przez poetę (Lenartowicza).

(*d. n.*)

O leczniczych i ochronnych środkach domowych przeciwko chorobom.

Podług D-ra i Prof. **Bocka**

NAPISAŁ

Stanisław Wojciech Łukowski.

(Dalszy ciąg.)

Łój, o którym tu mowa, używany bywa zwykle z powodu zawartości stałych, tłuszczowych istot, do wyrobu świec łojowych, i dlatego można go łatwo dostać w świeżej postaci w mydlarniach. Odnośnie do chorób, przynosi on, jak to zobaczymy poniżej, nieocenione korzyści, zwłaszcza przy zastosowaniu zewnętrznym (przy smarowaniu, wcieraniu) w różnorodnych zajęciach skóry. Ochrania bowiem lepiej nad wszelkie inne tłuszcze i oleje od wpływu zewnętrznych bodźców i jest zazwyczaj pożytecznym przy zapaleniach, wysypkach (szczególniej z ostremi wydzielinami), ranach, oparzeniach i odziębieniach skóry; prócz tego, łój czyni skórę miękką i delikatną, przez co bywa pomocnym przy jej suchości i pękaniu. Przy silnej gorączce, kiedy skóra jest suchą i rozpaloną, mianowicie przy płonicy (szkarlatynie) połączonej ze zjawiskami drgawkowemi, nacieranie skóry łojem przynosi choremu wielką ulgę, gdyż chłodzi skórę i uspokaja zbyteczną drażliwość jej nerwów. Smarowanie łojem tych części, które są wystawione na zetknięcie z materyją zaraźliwą, prawdopodobnie, zapobiega ich zarażeniu się. Jednym słowem, łój jest tak szeroko rozpowszechnionym środkiem leczebnym, że trudno się obejść bez niego, i nie masz ani jednej części ciała naszego, dla którejby w danym razie nie okazał się pożytecznym.

Już w pierwszych latach życia ludzkiego, w okresie niemowlęctwa, nastręcza się sposobność zastosowania łoju z korzyścią, najczęściej przy tak zwanej *wyprzałości* skóry w miejscach fałdzistych i głębokich, np. w górnej części bioder, pod pachami, na szyi i ramionach, oraz za uszami. Wyprzałość ta poprzedzoną bywa zwykle zaczerwienieniem zapalnego miejsca skóry i wtedy już można jej zapobiedz przez częste

---

wodem jest zawieszony od Nowego Roku, jak mówiliśmy „Tygodnik Przemysłowo-Handlowy" mimo to, powiadamy, powstaje pismo bardziej jeszcze specyjalne. Farmacyja nie zadawalając się skromną rubryką wydzieloną jej przez czasopisma lekarskie wytwarza samodzielny swój organ p. t. „Wiadomości farmaceutyczne" pod redakcyą p. Jana Mrozowskiego. Program tego organu dosyć obszerny, prócz rozporządzeń rządowych aptekarstwa dotyczących i właściwych przedmiotów farmaceutycznych obejmuje także dział związanych z niemi nauk przyrodzonych. Na pytanie, czy pismo to znajdzie warunki trwałej egzystencyi odpowiadany twierdząco; tu bowiem naprzód już można obliczyć mniej więcej liczbę czytelników i abonentów i na tej cyfrze oprzeć swój rachunek, czego też zapewne przyszła redakcyja uczynić nie omieszka. Co się zaś tyczy wewnętrzneąo opracowania, nie wątpimy, iż do tego znajdą się odpowiednie siły.

* * *

Kuryjer Codzienny (Nr. 10) w energicznym artykule wstępnym dopomina się, aby każda z instytucyj przytułkowo-wychowawczych miała pełną świadomość celu swego istnienia i zdawała sprawę ze środków, jakich ku temu celowi używa. Cel takich zakładów musi być zgodny z wymaganiami i potrzebami społeczeństwa, gdyż inaczej nie miałyby one „racyi istnienia, a przynajmniej istnienia kosztem grosza publicznego." Po mniej zdaniem naszym stosownej pochwale instytucyi, której działalność nie weszła jeszcze w sferę czynu, Kuryjer stawia następnie kategoryczne konkluzyje, projektując mianowicie, aby Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności podawało szczegółowe sprawozdanie z wewnętrznego urządzenia utrzymywanego przez siebie zakładu sierot. Co bowiem się tam robi, jak robi i dlaczego, publiczność nic o tym nie wie, a mimo całkowitego zaufania do Towarzystwa i jego organów, wiadomości podobne byłyby ciekawe w interesie samego postępu i możliwych ulepszeń. Podobnych sprawozdań żąda Kuryjer i od Instytutu Ś-go Kazimierza.

Zdaniem naszym nic słuszniejszego nad podobne wymagania.

* * *

W dniu 14 b. m. byliśmy obecni na egzaminie wyższej klasy skrzypcowej w tutejszym konserwatoryjum Muzycznym. Klasa ta zostaje pod bezpośrednim kierunkiem samego dyrektora instytutu i liczy w swym składzie kilku rzeczywiście utalentowanych uczniów. Nie rozbierając szczegółowo ich gry, notujemy, iż odznaczają się szczególniej pp. Adamowski, Michalski, Pachulski i Rozbicki. W wykonaniu sonaty Bacha na skrzypce i fortepian zaprodukował także swój talent p. Sygietyński uczeń klasy fortepianu.

Spotkaliśmy się ze zdaniem, że egzamina odbywane przy stosunkowo dość licznie zgromadzonej zaproszonej publiczności mogą być dla uczniów przedwczesnym, zarozumiałość rodzącym popisem. Co do nas nie dzielimy tego zdania. Owszem uważamy za bardzo właściwe: jak z jednej strony okazanie publiczności, jaka jest działalność instytucyi tak z drugiej oswojenie uczniów z otoczeniem. Co zaś do zbyt niekiedy pobłażliwych oklasków, nie wątpimy, iż dyrektor objaśni swym wychowańcom znaczenie takowych...

* * *

Że w potrzebach życiowych biedniejszych warstw pracujących kwestyja odzieży nader ważną odgrywa rolę, na to zgodzi się każdy. Z drugiej zaś strony wobec wzrastającej drożyzny wogóle a zacieśnionego działania na polu zarobku, zaspokojenie potrzeby tej,

i lekkie obmywanie zaczerwienionego miejsca zimną wodą, a następnie, przez smarowanie go świeżym łojem, lub przykładanie do niego gałganka pociągniętego takimże łojem. Przy utworzonej już wyprzałości, postępuje się w podobnyż sposób, z tą tylko różnicą, że należy częściej obmywać miejsce wyprzałe. Przy owrzodzeniu pępka, użycie łoju będzie takież samo, lecz z zachowaniem jeszcze większej troskliwości co do częstego obmywania ropiejącego miejsca, gdyż zaniedbanie pod tym ostatnim względem, może spowodować przeniesienie posoki (zgniłej cieczy) do strumienia krwi (przez żyłę pępkową), a następnie, co nierzadkim bywa wypadkiem, sprowadzić śmierć w skutek posokowatego zakażenia krwi. Dla kobiet karmiących, częste obmywanie brodawek piersiowych świeżą wodą i smarowanie ich łojem, bywa bardzo pożyteczne, zapobiega bowiem owrzodzeniu owych brodawek i pomaga do usunięcia już powstałych owrzodzeń.

Wysypki skórne u niemowląt również przemijają, i nawet bardzo szybko, od użycia świeżego łoju. Tutaj należą: *wysypka liszajowata*, pojawiająca się na policzkach ząbkujących dzieci; ma ona postać małych guziczków umieszczonych albo oddzielnie, albo gromadkami obok siebie na zaczerwienionej (zapalnej) skórze, które w skutek drapania i tarcia zamieniają się na małe pęcherzyki i pryszcze, wypełnione jasną lub brunatną ropą; po pęknięciu i wyschnięciu tych ostatnich, tworzą się strupy. Łój pomaga także przy *pryszczycy twarzy* (crusta lactea) u ssawców. Wysypka ta, mająca swe siedlisko na policzkach i czole dziecięcia, polega na tworzeniu się pęcherzyków wypełnionych żółtą kleistą cieczą, umieszczonych oddzielnie lub gromadkami na zaczerwienionej, zapalonej skórze. Pęcherzyki rzeczone, powiększając się później, łączą się i przy pękaniu wydzielają swą zawartość, która po wyschnięciu tworzy zielonawe strupy, podobne do mleka wyschłego przy ogniu. Z odpadnięciem tych strupów, widnieje na skórze zaczerwieniona sucha lub wilgotna powierzchnia, która znika po zdarciu naskórka. Lecz często, na miejscu owych strupów, powstają nowe pęcherzyki, i wtedy wysypka jeszcze bardziej rozszerza się, niż poprzednio. U ssawców i starszych dzieci, zjawia się niekiedy wysypka, gorsza daleko od wymienionych wyżej. Jestto tak zwany *ognipiór*. Rozpoczyna się on zwykle około ucha, rozszerza się po całej twarzy i dosięga często pokrytej włosami skóry na głowie. Wysypka ta składa się z drobnych, ściśle umieszczonych obok siebie pęcherzyków, rozwijających się na zaczerwienionej, t. j. zapalnej skórze i sprawiających mocne swędzenie; w skutek drapania pęcherzyki owe pękają i wydzielają bardzo ostrą ciecz, która wysychając, tworzy cienkie, ciemne łuskowate strupki, skóra pod temi ostatniemi ulega niekiedy owrzodzeniu, przy czym nierzadko powstaje zapalenie powiek i nabrzmienie gruczołów szyi. Oprócz twarzy, często zajętą bywa u dzieci różnemi wysypkami, pokryta włosami część głowy. Wogóle wysypki te znane są pod nazwą *parchu;* pomiędzy niemi bywają prawdziwe i rzekome. Pierwsze, do których należą: *pleśń parcha* i *wyprysk postrzygający*, pochodzą z rozwoju pasorzytnych grzybków w cebulkach włosów i dlatego są zaraźliwe. Rzekome parchy, przy których użycie łoju bardzo jest pożytecznym, odpowiadają prawie wysypkom na twarzy i znamionują się rozwojem pęcherzyków, pryszczów, łuszczek i strupów, przeważnie na zaczerwienionej skórze głowy.

Używając łoju i zachowując największą możebnie czystość przy wysypkach na twarzy i głowie, osiągniemy znaczne skrócenie długotrwałości choroby i uwolnimy dziecię od nieprzyjemnego swędzenia oraz palenia. Czystość chorej skóry, najlepiej utrzymuje się za pomocą lekkiego zwilgotnienia ciepłą wodą; nigdy zaś nie należy jej myć, ani wycierać zimną lub gorącą wodą. Gdyby zaraz przy rozpoczynającej się suchości, stwardnieniu i zaczerwienieniu skóry, częściej i staranniej smarowano świeżym łojem miejsce podejrzane, wtedy możnaby nawet przeszkodzić tworzeniu się wysypki lub przynajmniej ograniczyć jej rozmiar. Jeśli zaś wysypka zjawiła się już ze swemi łuszczkami albo strupami, to trzeba postępować w następujący sposób: rozmiękczyć osadzone na skórze strupy za pomocą ciepłej wody lub pary i zdjąć je delikatnie, potym maczać uwolnioną od nich zaczerwienioną, po większej części wilgotną skórę, za pośrednictwem gąbki czy też szmatki nasyconej ciepłą wodą i smarować ją świeżym łojem. Należy to powtarzać kilka razy dziennie, albo przynajmniej jak tylko zaczną się nanowo tworzyć strupy, gdyż łój najlepszym jest środkiem do zagojenia skóry. Ponieważ podobne leczenie wymaga dużo kłopotów i niechętnie bywa wykonywane przez matki i piastunki, wysypka więc zazwyczaj bardzo się rozszerza; co zaś do lekarza, to w tych razach cenionym bywa więcej taki, który owe miejscowe cierpienia leczy zupełnie nieprawidłowo, za pomocą tranu, środków przeczyszczających i t. p. Rozumie się, że daleko wygodniej jest dawać dziecięciu od czasu do czasu lekarstwa, aniżeli cierpliwie i ostrożnie oczyszczać zajęte wysypką miejsca; lecz czy lekarstwa te są pożyteczniejsze, to jeszcze wielkie pytanie...

W każdym wieku i przy najrozmaitszych zajęciach powierzchni naszego ciała, świeży łój przedstawia zmiękczający, leczniczy, jedynym słowem wyborny środek. Tylko naturalnie, zaraz po pierwszym smarowaniu, nie należy tu oczekiwać cudów. Lecz u nas już to jest w nałogu pomiędzy cierpiącemi na długotrwałe choroby (szczególniej skórne), że po bezowocnym użyciu różnorodnych lekarstw i kąpieli, po kuracyi u różnych lekarzy i szarlatanów, wymagają oni, jak od łoju, tak i wogóle od wszelkich przyrodzonych środków leczniczych i przepisów dyjetetycznych, ażeby te natychmiast, a najpóźniej w parę dni, sprowadziły pożądane wyzdrowienie. Śmieszne też nieraz i niedorzeczne powstają z tego powodu pretensyje ze strony pacyjentów do lekarzy i lekarstw. Tak np., cierpiący na zatkanie stolca i osłabiający sobie przez całe lata przewód żołądkowo-kiszkowy pigułkami Morison'a lub Cauvin'a, wymagają od lekarza, ażeby wyleczył ich w kilka dni za pomocą jakiejś mikstury, o należytym zaś zachowaniu się dyjetetycznym, ani słyszeć nie chcą. A tymczasem, okazuje się u tych nieszczęśliwych połowiczne porażenie kiszek i głębokie przeistoczenie błony śluzowej żołądka. Chorzy na gorączkę przepuszczającą (febrę zimną), w ciągu całych miesięcy homeopatycznej kuracyi wytrzymujący z cierpliwością napady (paroksyzmy) gorączkowe, stają się bardzo niecierpliwi, gdy po szybkim usunięciu owych napadów za pomocą leczenia alopatycznego, nabrzmiałe, ich w skutek puchliny, wodnej nogi, nadzwyczajne wycieńczenie, blada i wynędzniała cera, oraz powiększona śledziona, nie przychodzą również prędko do stanu normalnego. Osoby z małym mózgiem; a zatym tępe na umyśle, lekarz powinien zrobić gienijuszami; zyzowate, koślawe, garbate dziewczęta, zamienić na gracyje; starych, zgrzybiałych i łysych paralityków, przeistoczyć w dziarskich młodzieńców z kruczemi

---

całym setkom ludzi ubogich krwawo rzec można przychodzi, tym więcej, że jak wszędzie, tak i tu pokątni spekulanci (tandeciarze) dopuszczają się licznych nadużyć i spekulacyjnego wyzysku. To też z prawdziwym zadowolnieniem dowiadujemy się o mającym powstać w Warszawie stowarzyszeniu filantropijnym, zarząd którego ma robić odpowiednie zakupy materyjałów a z tych wychowańcy różnych zakładów dobroczynnych wyrabiać będą ubrania dla ubogich, stowarzyszenie zaś przedmioty te sprzedawać będzie po cenach jak najbardziej przystępnych. (palto ciepłe zimowe ma kosztować rsr. 2).

Zamiar to o ile zacny, o tyle praktycznie pomyślany. Oby tylko corychlej stał się rzeczywistością.

* * *

Zamieszczamy poniżej korespondencyją z Kujaw, zostawiając całą dosadność wyrażeń jako wymownie charakteryzującą gorączkowość traktowanej kwestyi; ze swojej jednak strony robimy uwagę, iż główna wina leży po stronie tych, którzy wszędzie i zawsze grzeszą niezaradnością.

Z Kujaw, w styczniu 1874 r.

Chcę pomówić dziś szerzej o tym, o czym kiedyś tylko zrobiłem wzmiankę. Chcę mówić o żydach. Ogromna bierze mię ochota wyciąć długą rozprawę o ich stanowisku w naszym społeczeństwie, o ich wyróżnianiu się i tp. Byłoby to nawet podobne do wszystkich artykułów pisanych o nich na rozmaite sposoby, a zawsze do niczego nie prowadzących. Lepiej będzie, gdy poprostu z okolicy, w której mieszkam przedstawię wam stosunek żydów do nas i na odwrót. Jeżeliście widzieli kiedy (o czym niewątpię) muchę w pajęczynie brzęczącą próżno przed napastującym ją pająkiem, jeżeliście widzieli kiedy łapanie ryb na wędkę i tym podobne drobne wydarzenia ze świata zwierzęcego: będziecie mieli mniej więcej obraz naszego stosunku do brodatych lichwiarzy. Naturalnie że wędką i pająkiem nie my jesteśmy. Zaczyna się zawsze z małego, ale że według francuzów, apetyt wzrasta przy jedzeniu, gdy się więc raz pożyczy, rzecz skończona, pożycza się ciągle. Wiadomo wszystkim jak nieoględnym jest brat szlachcic, wydaje zawsze więcej niż ma i bez pożyczki żyć nie może. Wiadomo znowu, jak oględnym jest Lajzor i Mosiek, ten też bez pożyczki ale *komu* żyć nie może, interes gotów. Pieniądze nie wielkie przepływają z miasta do wsi, a daleko większe w postaci surowych produktów jadą ze wsi do miasta. Nikt nie obliczy co za kolosalne straty ponosi nasza okolica przez sprzedawanie *naprzód* każdego produktu i zależność w postawieniu cen przez kupujących. A że „kruk krukowi oka nie wykole”, trzyma się więc za ręce pokolenie Mojżesza i nic mu zrobić nie można,—tym więcej, iż my naprzeciw temu nic postanowić nie umiemy. „Nomina sunt odiosa”, przytoczyłbym tu jednak wielu, którzy jakby umyślnie oddają się w ręce żydowskie i nie bacząc na straszne skutki, w żadnym interesie bez żyda obejść się nie mogą. Przyjeżdża taki pan do miasteczka. Parę funtów cukru i kawy zapisanych w rejestrzyku, musi mu faktor kupować. Od kawy i cukru idzie dalej, w końcu zaczyna się mięszać do spraw domowych i staje się codziennym gościem. Sam faktor nie jest jeszcze tak bardzo straszny; ale poza nie-

włosami; słowem, wymagania z jakiemi publiczność, wykształcona nieraz pod innemi względami należycie, zwraca się do lekarza, powinnyby według swej natury przyprawić go o śmierć, czy to w skutek śmiechu, czy zmartwienia, gdyby nie cenił swego życia.

(*d. c. n.*)

August Lüben.

Pod koniec zeszłego roku świat pedagogiczny utracił jednego z największych pedagogów nowożytnych, Augusta Lübena, dyrektora seminaryjum w Bremie. Znany on był wszystkim nauczycielom, naukowo zajmującym się swym powołaniem, a szczególniej nauczycielom historyi naturalnej, którym dał w rękę najlepszą metodykę wykładu zoologii i botaniki. Z pracy jego i nasze społeczeństwo niedługo bezpośrednio skorzysta, albowiem jeden z tomów naszej Biblijoteki, został opracowany na zasadach i według wzoru podanego przez ojca współczesnych nauczycieli.

August Lüben urodził się w 1804 roku we wsi Golcowie niedaleko miasta Kistrzynia (Küstrin). Ojciec jego był nauczycielem w tej wsi, i sam uczył syna w swej szkole. Niewiele jednak August z tej nauki skorzystał, albowiem nie mógł zdać egzaminu do seminaryjum, i został dopiero przyjęty po kilku miesiącach, gdy wypełnił braki w swym naukowym przygotowaniu. Ojciec pragnął, aby szukał karyjery w handlu, lecz gdy przypadkiem August zwiedził seminaryjum w Neuzelle, to urządzenie tak mu się spodobało, że oświadczył ojcu, iż pragnie zostać nauczycielem, a ojciec bez oporu dał mu na to pozwolenie. W 1820 r. August wstąpił do seminaryjum nauczycielskiego w owym Neuzelle i po dwu latach ukończył kurs całkowity. W autobijografii swej August z największą sympatyją i uznaniem wyraża się o swych nauczycielach, a szczególniej o nauczycielu historyi naturalnej i gieografii, którzy bardzo wpłynęli na jego zamiłowanie do tych przedmiotów i na całą późniejszą działalność. Po skończeniu seminaryjum Lüben objął posadę nauczyciela pomocniczego (Hilfslehrer) w nowo wówczas założonym seminaryjum w Weissenfels, którego dyrektorem był Harnisch znakomity pedagog, a nauczycielami Stubba i Hentschel. Od dyrektora bardzo wiele Lüben skorzystał, Harnisch obznajmił go z głównemi zasadami poglądów Pestalozzi'ego na wychowanie. W 1825 r. wezwano go na nauczyciela wiejskiego do Alsleben, gdzie praktycznie zastosowywał to, czego się nauczył w Weissenfels. W r. 1828 znajdujemy go w Aschersleben, najprzód jako nauczyciela, a potym jako rektora, którą to godność piastował aż do 1849 r. W tym czasie wydał bardzo wiele prac jakoto: pierwsze wydanie metodyki, zoologii i botaniki, podręcznik do nauki historyj naturalnej, wykład gieografii, oraz pomieszczał artykuły o wykładzie historyi naturalnej w Przewodniku (Wegweiser) Diesterwega. W 1849 r. Lüben był prezesem zjazdu nauczycieli w Meiseburgu, a wszystkie kwestyje rozbierane na tym zjeździe odznaczały się rozumnym poglądem i kierunkiem pedagogicznym. Szło tam mianowicie: 1) o dawanie nauczycielom dobrego przygotowania, 2) o oddzielenie szkoły od kościoła, 3) o oddanie inspekcyi szkół nie pastorom lecz pedagogom, 4) o urządzenie prowincyjonalnych zjazdów, 5) o powiększenie płacy nauczycielskiej. Wymagania te nie osiągnęły wówczas żadnego praktycznego skutku, lecz zasad tych bronił Lüben aż do końca życia, i oparł na nich organizacyją szkół ludowych i seminaryjum w Bremie. Od 1849 do 1858 r. Lüben był rektorem szkół miejskich w Merseburgu i urządzał je tak dobrze, że w skutek tego postawiono go na równi z pierwszorzędnemi pedagogami niemieckiemi. Nic więc dziwnego, że senat bremeński wybrał go na dyrektora powstającego wtedy seminaryjum, z pomiędzy czterdziestu współubiegających się o tę posadę. Obowiązki te pełnił aż do końca życia.

Działalność jego literacka ani na chwilę nie ustawała. Pisał ciągle lub przerabiał dawniej napisane przewodniki do wykładu lub podręczniki, a oprócz tego wydawał dwa bardzo poważane czasopisma pedagogiczne: „Jahresbericht" i „Practischer Schulmann". Ostatnią jego pracą na polu literatury była autobijografija, która miała być wydana w dziele p. t.: „Die Volksschule des XIX Jahrhunderts in Biographien hervorragender Schulmänner" (Szkoła ludowa w XIX wieku, w bijografijach znakomitych pedagogów), z którego dochód poświęcono dla sierot po nauczycielach bawarskich. Ostatnią więc swą pracą dobroczynną dodał nowe ziarnko do zasług, jakie położył względem tych, których kształcił. Nie mniej też ważną jest jego działalność na zjazdach nauczycielskich. Rozwijał on zawsze bardzo rozumne i praktyczne poglądy, które wielki wpływ wywierały na nauczycieli niemieckich, a nawet niektóre z nich usankcyjonowane zostały prawami wydanemi przez rządy. W roku 1854 powstał przeciwko wydanym przez rząd pruski szkolnym przepisom i wciąż krytykował ciasne jego poglądy na szkołę. Jednakże nie tracił nadziei, że lepsza przyszłość zaświeci dla szkół pruskich, albowiem żadne przepisy nie zdołają zniweczyć tych prawd, które cała ludzkość nagromadziła. „Któż zniszczy to wszystko"? rzekł do jednego z swych przyjaciół, wskazując na biblijotekę zawierającą wszystkie niemal najlepsze dzieła pedagogiczne. I rzeczywiście ze zmianą ministra oświecenia wprowadzone zostały naukowe zasady do szkół pruskich, i przy końcu życia Lüben mógł się cieszyć urzeczywistnieniem swych idej.

Poświęcając kilka tych słów pamięci Lübena, spełniamy ogólno-ludzki obowiązek, albowiem prace jego są skarbem dla całej ludzkości stojącym na usługi. Niech one również będą przypomnieniem i zachętą dla naszych pedagogów, aby korzystali z tych skarbów, i tyle się względem naszego społeczeństwa zasłużyli, tyle dla niego zrobili, ile Lüben uczynił dla swej ojczyzny i całej ludzkości.

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Petersburg, 27 grudnia 1873 r.

Zmiana klimatu w Petersburgu.—Mgła..—Spodziewane polepszenia.—Stały most na Newie.—Wyższe zakłady naukowe dla kobiet.—Vendetta.—Tragiczno-poetyczna podróż na lodzie.—Warszawski słowik.—Wystawy.

— „Czy to prawda, że u was w Petersburgu takie bywają mrozy, że kiedy kto plunie, to ślina nie dostawszy jeszcze do ziemi, zamarznie?" To pytanie zrobił mi przed kilku laty pewien warszawianin. Nie dawno musiałem przekonywać jednego francuza, że ludzie w Petersburgu świec łojowych nie jedzą i w domach z lodu nie mieszkają; że brzozy, lipy, jodły i t. d. rosną (nędznie, to prawda) pod gołym niebem i że ich kloszami na zimę nie zakrywają. Obecnie natura sama stara się zdjąć z Petersburga tę niezasłużoną potwarz. Wyobraźcie sobie, że chociaż już jesteśmy w pełnym rozwoju zimowego sezonu, jeszcze nie mamy zimy. Włoska opera prze-

---

go wyglądają różnokolorowe oczy i głowy, czyhające tylko na zdobycz i dyszące chęcią zysku. Z piasku prawdziwie bicz kręcą. Ludność żydowska naszych małych miasteczek (tak jak wszędzie) nic nie robi i trudni się tylko wyłącznie handelkiem i oszukaństwem. No, kogoż oszukują? wiemy wszyscy. Jak więc powiedziałem, za drobnemi faktorami kupującemi skórki, gęsi, wyglądają inni z grubszemi trochę interesami w kieszeni, którzy zawsze do pożyczki i dobrego zrobienia interesu gotowi. Lasy... lasy... uśmiechają im się zawsze jak Jazonowe runo, po które bodaj czyby do Kolchidy nie odbyli wyprawy. Las każdy kupią, gdy ich poczęstujesz, choćby i to nie, przyjdą i póty mordują aż zmordują. Czy myślicie jeżeli przypadkiem zrobią zły interes, iż dotrzymają umowy? Co nie, to nie. Powiedzą wprost, że nie zapłacą—i cóż, procesować? Wiedzą dobrze, że na prowadzenie procesu nie każdego stać, a w kwestyjach prawnych „babka wróży zawsze na dwoje". Co może przewaga kapitału?! Albo my mamy i czas drobiazgowo wszystkim się zająć? Przypomina mi się tu zaraz tych dwu studentów, z których jeden tylko naukę miał przed sobą, a drugi inne tysiączne interesa i przyjemności. Jak wyszli, wie każdy. Takie wypadki niedotrzymywania umów ze strony żydowskiej są dość pospolite. Naprzykład ktoś z moich znajomych sprzedał niedawno las, żyd poznaje, że zły interes, ale dał już połowę szacunku. Gdy więc termin zapłaty drugiej połowy się zbliżył, oświadcza wręcz, że nie zapłaci, szlachcic pieniądze wydał, na proces nie ma, pal djabli, powiada, i opuszcza żądaną przez żyda sumę. Ze zbożem bardzo często robi się podobnie i gdzie na to rada? Kiedy pieniądze zawsze u nich, a my tych pieniędzy wiecznie potrzebujemy. Plaga faktorstwa małych handelków i pożyczek coraz się bardziej rozpowszechnia w naszych stronach. Zamiast korzystać z przykładu sąsiedniego Księstwa Poznańskiego, gdzie pejsate żydy nie jeżdżą po dworach, my prawie przesadziliśmy inne strony naszego kraju. Miasteczka roją się jak mrowiska pełne dzieci Izraela czyhających na naszę zgubę. Jeżeli miasta w kwestyjach finansowych są opanowane przez ludność izraelską, jeżeli do wszystkich *krachów* i *niekrachów* oni się bardzo przyczyniają, to wieś stoi gorzej jeszcze od nich wszystkich. Żeby który z nich wziął się do rzemiosła albo innego pożytecznego zajęcia... gdzież tam... ojciec bierze już małego na brykę i do interesów wprawia. Chłopak wyrostek zna już na palcach całą okolicę, wie, co o kim trzymać i z parą groszami i dobrym kijem rozpoczyna karyjerę. A my kontenci przypominamy sobie potym przy kieliszku za pożyczane pieniądze, iż Joska pamiętamy, jak z torbami chodził. Niech kto co chce mówi, żydzi za niemcami powiedzieć nie mogą: „*wo ist mein brod, dort ist mein vaterland*" bo dla nich ziemią obiecaną tylko kraj nasz. Nie tylko w kwestyjach pożyczek i wogóle interesów materyjalnych, wpływ ich sięga czasem jak już mówiłem i dalej. Gdy ma duże pieniądze na hipotece, pan kupiec wtrąca się do ożenienia młodego pana, wydaje panny za mąż, stręczy zięciów, słowem jest osobą, bez której nikt by się nie obszedł. Smutne to, bardzo smutne. Gdy czasem myślę nad tym, szukam sposobów wydobycia się naszego ze szponów lichwiarskich, ale w naszych trudnych warunkach ani weź. W obecnej chwili większa nas połowa jest *parobkami* żydów, dla nich orzemy, siejemy, zbieramy a oni jeżdżą za ważniejszemi interesami. Gdzież się podziały Jankle Mickiewiczowskie lub

szło od dwu miesięcy zachwyca i „porywa" melomanów, kluby dawno już się z letnich mieszkań poprzenosiły, wszystkie towarzystwa naukowe i dobroczynne, dawno już rozpoczęły swe posiedzenia, odczyty publiczne znowu się zaczęły, a zimy jak niéma, tak niéma. Zamiast śniegu mamy błoto—mgłę.... tuman.... Nie raz myślę sobie, dlaczego też nikt z malarzy, choćby Ajwazowski, nie weźmie się do odmalowania Petersburga w dzień pochmurny i mglisty. A byłby to widok wspaniały! W mglisty dzień nie można być pewnym, czy to, co się widzi jest w istocie tym, czym się być zdaje. To co w oddaleniu zda się być olbrzymem, w bliskości okazuje się czymś, na co nie warto było zwracać uwagi. Stali a dawni mieszkańcy Petersburga dowodzą, że widocznie znaczną jest zmiana klimatu petersburskiego, ze obecnie daleko dłuższa i cieplejsza jesień, wcześniejsza wiosna, latem daleko więcej dni pogodnych i t. p. Chcemy wierzyć temu, bo wątpić w zmianę klimatu, byłoby to samo co wątpić.... w wiele innych zmian ku lepszemu, byłoby to wątpić w zmianę naszych przedpotopowych dryndulek, na których trzeba się trzymać rękami i kolanami, aby nie wpaść do błota i nie przypłacić życiem, padłszy pod koła przechodzącego wagonu lub dyliżansu, jak to było przed parą laty z jedną damą—wątpić w radykalne zaradcze środki (przez uregulowanie kanalizacyi) usunięcia cholery, wątpić w połączenie wysp z Petersburgiem stałym mostem przez Newę, a z któremi dotąd co wiosna i jesień, a jeżeli długo Newa nie zamarza (jak to miało miejsce obecnie) to i część zimy przerywa się zupełnie, lub też bardzo się utrudnia komunikacyja. Że ta ostatnia potrzeba jest jedną z najgłówniejszych, dość wam powiedzieć, że na tak nazwanej *Wyborskiej Stronie* znajduje się bardzo wiele zakładów naukowych, i że z tej strony pracowity *Czuchoniec* nosi i wozi nam codzień masło, mleko, jaja i inne produkta swej starannej choć biednej gospodarki. O tym, że ten most przeprowadzonym będzie, nie wątpimy już i dlatego, że duma (rada miejska) na trzy premije naznaczyła: 6,000 r., 3,000 i 1,500 rubli; na wydatki komisyi 10,000 rs. i na przerobienie projektu 6,000 r., wogóle 26,500 rubli. Trzeba wam wiedzieć, że konkurs już miał miejsce i że przyjęty został projekt stałego mostu angielskich inżynierów Uajtekera i Perreta, jest więc nadzieją, że rada miejska (duma) nie dumając długo, zdecyduje się nareszcie, zatraciwszy znaczny kapitał, przystąpić do tej ważnej roboty.

Wzrastająca liczba kobiet pragnących się kształcić umysłowo w zakresach daleko obszerniejszych niż to miało miejsce dotąd, wywołała też potrzebę podniesienia kwestyi pracy kobiecej do rzędu jednej z najżywotniejszych. Zjawiła się konieczność, a za nią projekt założenia w Rosyi wyższych naukowych zakładów dla kobiet. Dla rozpatrzenia tego projektu naznaczoną została komisyja, która rozstrzygnęła tę kwestyją zgodnie z postępem i życzeniem ogółu. Mamy więc nadzieję, że w następnym roku podobne zakłady będą już otwarte.

Zachód, a szczególniej Hiszpanija, słynęła dotąd jako kraj, w którym *wendetta* jest jakby obowiązkiem, a odebranie życia sobie lub drugiemu, rzeczą tak zwyczajną, że za pokutę kilka *Ave Maria* wystarczy. Przypisywano to gorącej, południowej krwi, która płynie w ich hiszpańskich żyłach—i temu palącemu słońcu, pod którym „pomarańcze kwitną"—i dojrzewają.... Ostatniemi jednak czasy i pod szarym petersburskim niebem, gdzie piołun kwitnie i wydaje owoce... a ludzie mają krew rybią i rybią naturę, działy się rzeczy, przed któremi bledną hiszpańskie wendetty. W jesieni r. z., żona znanego i zdolnego literata, została zabitą wystrzałem z pistoletu, przez człowieka, który sam się tejże chwili zastrzelił. Tajemnica poszła z niemi do grobu. Przed kilku dniami znowu zdarzył się tu wypadek zabójstwa, pobudki którego sąd zapewne objaśni i tym da niemałe pole dla badań psychologicznych wogóle, z kobiecej natury w szczególności. Wyobraźcie sobie, prawie półtora roku, mąż z żoną ścigają w głębi Rosyi i zagranicą człowieka, który, przed pięciu laty, kiedy jeszcze ścigająca żona była niezamężną, znał ją i będąc sam żonatym, doznawał od niej dowodów prawdziwego przywiązania. Kobieta ta po kilku leciech pożycia z mężem (po latach pięciu) wyjawia mu swoję tajemnicę i zawzięcie pomaga mu ścigać tego, który jakoby skalał jej honor. Po długich poszukiwaniach nareszcie udało się im dowiedzieć, że ofiara ich wezwaną jest do Petersburga, jako świadek w pewnym procesie. Przyjechali więc w ślad za nim, zaprosili go do siebie, i kiedy kobieta zaczęła go przed mężem oskarżać i dowodzić, że krwią tylko może być zmyta taka plama, on zaś nie przyjmował pojedynku, który mu proponowano, wówczas mąż rzucił się na niego, zadał mu 7 ran, a żona dwa razy do niego strzeliła lecz kule zasiadły w ścianie. Ofiara w kilkanaście godzin w największych cierpieniach zmarła.

Wypadki samobójstwa nie są też rzadkie w naszym mieście. Ostatni szczególniej uchylił trochę zasłonę, spoza której dramat rodzinnego życia odkrył się w całej swej nagości. Przed kilku tygodniami utopiły się dwie młodziutkie panienki—16 i 17 letnia. Przypisano ten krok rozpaczliwy, jakiejś nieszczęśliwej miłości, lecz znalezione po ich śmierci urywkowe notatki, wyjaśniają, jakie mniej więcej były pobudki tak tragicznego ich zgonu. „....Zyski.... nienawiść.... śmierć dobrowolna.... praca. praca.... smutek.... Ach rodzice! rodzice!.... Tak to z córkami.... Synów kochacie a córki nie.... Wszystko w tym...." Pod temi słowami narysowany grób, po obu jego bokach krzyże — na grobie napisano „woda", a pod spodem imiona dwu nieszczęśliwych. Pokazało się, że ojciec ich jestto typ dość często spotykany na świecie samolub, tyran, despota....

(*d. n.*)

ROZMAITOŚCI.

Przyczynki do kwestyi kobiecej I. Żaden rozsądny człowiek nie może już obecnie utrzymywać, że kobieta nie powinna *pracować*, nie powinna się *uczyć* narówni z męszczyzną. Kwestyją sporną stanowią tylko *rodzaje* pracy i rodzaje nauki; jedni chcieliby je w bardzo szczupłej zamknąć granicy; drudzy nie chcą uznawać żadnej. Zdaje się nam, że pod tym względem warunki fizyjologiczne powinny ustanowić reguły możliwości rozszerzania zakresu pracy i naukowej działalności w *praktyce*; praktyka zaś sama może reguły te wypróbować i należycie uzasadnić.

Dopóki to nie nastąpi, pożyteczną jest rzeczą wiedzieć, *co* i *jak* w innych krajach dla rozwiązania spornych kwestyj już zrobiono i robi się ciągle, gdyż wiadomość taka może posłużyć nie tylko za przestrogę, ale i za wskazówkę dla nas samych, co dopiero wchodzimy na drogę urzeczywistniania projektów, pracy i nauki kobiecej dotyczących. W tym celu, wierni swojemu programowi, który ma obejmować *całość* spraw rodzinnych, w pewnych odstępach czasu zamierzamy podawać wiadomości, dotyczące przebiegu dyskusyj

---

wysokie charaktery żydów Korzeniowskiego? Dziś co najmniej znajdziesz tylko Geldhaba, jeżeli i już nie Szajloka. Wszyscy oni mają jeden interes—obłupić tych co na to pozwolą. A jak jeden zacznie, poznają jego wyższość, to w prowadzeniu interesu żaden mu w drodze nie stanie:

> ..... było cymbalistów wielu,
> Lecz żaden nie śmiał zagrać przy Jankielu...

Tak było dawniej. Dziś *cymbały* w okropnej robocie i wszyscy grają na nich ale z kolei. Czyżbyśmy już naprawdę ciągle mieli pozostać w tym położeniu? przecież tylko na śmierć niemasz lekarstwa. Więc najprzód otrząsnąć się raz z tak zwanych *parszywych* handelków, na których wszyscy masę tracimy i wspólnemi siłami nie potrzebować nigdy łaski brodatych Izraelitów. Czyżby to nie lepiej było, miasto zaglądać w brudne żydowskie kieszenie w danej okolicy, założyć na małą skalę kasę pożyczkową, którąby w krytycznej chwili podparła niejednego, przecież wasz projektowany Bank nie inne miał cele!.. Ale u nas zawsze tak z żydem i przyjaźń i pożyczka od niego a z sąsiadem kwasy. Tłomaczyłem już kiedyś skąd powstaje ten dziwny stan naprężonych obywatelskich stosunków, ale przecież raz wyjść z niego powinniśmy. Każdy aż nadto dobrze rozumie potrzebę ciągłą pieniędzy w rolnym gospodarstwie, ale niechże te pieniądze nie będą brane na procent lichwiarski... Ze sprzedażą wszystkich produktów postępujemy też jak najnieekonomiczniej. Sprzedajemy żydom ze stratą. Przecież to nie należy do utopij, aby w pewnym mieście założyć rodzaj ajentury handlowej, w którejby odpowiedzialny ajent (obeznany z cenami wielkich rynków) sprzedawał domom zagranicznym lub wielkim firmom nasze zboże. Działoby się tak jak pisze p. Półkozic z Kaliskiego do Gazety Rolniczej, dostawalibyśmy *naprzód* pieniądze, ale nie od żydów i nie ze stratą na cenach zboża. Tylko tym sposobem przyszlibyśmy raz do wyrównania cen naszych i niemarnowali produktów. W danym społeczeństwie, w danej okolicy, gdy jedna część ludności ciągle zarabia a pozostała ciągle traci, musi przyjść do bardzo nienormalnych stosunków. Marnujemy więc nasze lasy, marnujemy zboże, wełnę, inwentarz aby tylko gotowy grosz pochwycić i nóż coraz bliżej gardła przysuwać. Gdzie się obrócisz, to samo. Przy dzisiejszym puszczaniu propinacyi na licytacyje, myślicie, kto się utrzyma? Wprawdzie żyd nie szynkuje, bo mu nie wolno, ale wódka jego i chłopy rozpijają się za jego zdrowie. *Szczęściem*(!) że szos nie mamy, bo i te popsute na wiosnę i w jesieni teźby świadczyły o wysokim rozumie potomków Dawida. Słowem jednym, kwestyja, o której mówię, nie rozwinięta w szczegółach, wielkiej jednak doniosłości, powinna raz już zwrócić na się uwagę tych wszystkich, którzy idą ku złemu. Czasby już było zebrać siłę przeciw sile, i za pośrednictwem małych spółek, małych wkładów pieniężnych, raz obronić się tłoczącym się lichwiarzom. Ale trzebaby nam przeczytać historyją o owym ojcu, synach i prątkach leszczyny!..

Cóż kiedy u nas o zgodę najtrudniej!

> A z tego co się rzekło, morał się wywodzi,
> Że można kłótni przestać, gdy o skórę chodzi...

Ar. Za.

i praktycznych usiłowań w sferze pracy i nauki *większej połowy* rodu ludzkiego, a zatym większej połowy mieszkańców kraju naszego.

Zaczynamy od stron najbliższych.

Od roku 1865 istnieje „Ogólne niemieckie stowarzyszenie kobiet“ (Allgemeiner deutscher Frauenverein). Dnia 18 października 1865 r. zebrało się ono w Lipsku, pomimo szykan i śmiechów, i jako zasadniczy punkt swego programu, ogłosiło *pracę*, jako *obowiązek i cześć* płci niewieściej, nawołując zarazem do *samopomocy*. W Lipsku pozostaje dotychczas główne jego siedlisko, ku któremu zwracają się we wszystkich częściach kraju założone filije stowarzyszenia (Zweigvereine). Dotąd stowarzyszenie odbyło siedem zgromadzeń ogólnych; 3 w Lipskn, 1 w Brunszwiku, 1 w Kasselu, 1 w Eisenacku i 1 w Stutgardzie. To ostatnie miało miejsce w roku zeszłym od 8—12 października. (Spółcześnie prawie od 15—18 odbywał się kongres kobiecy w Nowym-Jorku.) Organem, w którym interesa tego stowarzyszenia znajdują swój wyraz, jest małe pisemko (arkuszowe), co 15 dni zjawiające się w Lipsku p. n. *Neue Bahnen* (Nowe drogi), którego redaktorkami są pani Otto i panna Augusta Schmidt.

Z tego pisma dowiadujemy się szczegółów o ostatnim *sejmie niewieścim* (Freuentag). Przedmiotem dyskusyj były przedewszystkim *rozprawy*. Panna *Schmidt* mówiła o „obowiązku i konieczności pomocy własnej w kwestyi kobiecej“; pani *Otto* o „założeniu i celach stowarzyszenia“; pani *Laddey* „o rozdrobnieniu sił kobiecych w pracy“ pani *Goldschmidt* „o prawach i obowiązkach kobiet w gminie i w państwie; panna *Halmánn* rozbierała pytanie: „czy państwo ma też same obowiązki względem córek, co i względem synów“; pani *Albert* z Hanoweru mówiła „o konieczności wykształcenia kobiet na *aptekarki*; pan *Went* rozprawiał „o kształceniu charakteru kobiecego,“ na *samodzielność* kobiety główny kładąc nacisk. Mniej lub więcej ożywione debaty przyczyniały się do jaśniejszego określenia w *teoryi* rozciągłości praw i obowiązków kobiecych. Do tych rozpraw przyłączyły się opowiadania, z których podnosimy jedno tylko: opowiadanie pani *Hallmann*. Córka jej chciała koniecznie poświęcić się studyjom uniwersyteckim, matka nie życzyła sobie puszczać jej samej; razem więc pojechały do Zurychu, aby się oddać badaniom przyrodniczym. Pani Hallmann zapewniała, że pogłoski o złym prowadzeniu studentek zuryskich były przesadzone, że jeżeli na sto kilkanaście studentek zdarzył się jakiś skandal, to nie można go rachować na karb studyjów uniwersyteckich, ale jedynie na karb natury ludzkiej, która wszędzie jest jednakowa.

Praktyczne postanowienia na tym sejmie były bardzo nieliczne; właściwie zapadło tylko jedno na wniosek pani Goldschmidt. Postanowiono w imieniu stowarzyszenia zanieść petycyją do sejmu państwa o *zmianę prawodawstwa cywilnego* odnośnie do kobiet. Postanowienie przyszło do skutku, ale jak wiadomo, nie przyniosło żadnego rezultatu; sejm petycyi nie względził. Parę wycieczek w okolicę zakończyło czynności zgromadzenia, które z początku liczyło 500, w końcu 100 osób.— Przyszłe zgromadzenie ma się odbyć na wiosnę r. 1875 (rok 1874 opuszczono) w Frankfurcie nad Menem.

W ostatnich czasach założono *Stowarzyszenie Nauczycielek* z siedzibą w *Krakowie*. Celem jego w ogóle jest: „Ochrona, przytułek, utrzymanie i pielęgnowanie nieumieszczonych lub podupadłych i do pracy niezdatnych nauczycielek tak prywatnych jak i przy szkołach funkcyjonujących, w szczególności zaś:

a) udzielanie schronienia tymczasowego nauczycielkom bez obowiązku będącym;
b) przyjmowanie chorych nauczycielek do Zakładu na czas choroby;
c) zapomogi jednorazowe;
d) stałe utrzymanie emerytek;
e) umieszczanie na stałych posadach.”

Nadesłana nam wraz ze statutami odezwa Zarządu stowarzyszenia brzmi jak następuje:

„Tak w celach osiągnienia materyjalnych korzyści, jak i w celach humanitarnego wspierania osób do pracy niezdolnych, lub które zatrudnienia dostać nie mogą, powstały w świecie tak liczne stowarzyszenia, że prawie każdy stan zarobkujący, każdy liczniejszy zawód ludzki w obu tych kierunkach utworzył pewne instytucyje, z których jedne członkom swoim zarobek i dobrobyt, drugie pomoc w słabości, przytułek na czas braku zajęcia lub spokój na starość zabezpieczają.

Zakłady takie wydały już nie mało zbawiennych owoców, wszystkie też warstwy ludności z nich korzystają.

Jeden tylko stan liczny, stan nauczycielek, nie ma dotąd takiego punktu oparcia, takiej centralnéj opieki, na jaką zasługuje.

Póki nauczycielka kwitnie zdrowiem i zdolną jest iść za wymogami postępu w naukach, póty ma wziętość i utrzymanie; lecz niech ją nawiedzi chroniczne cierpienie, kalectwo lub starość przedwczesna, staje się ciężarem krewnych, jeżeli ich ma; inaczéj w całym znaczeniu słowa „*sierotą*” bez przytułku i bez środków utrzymania.

A jeżeli zostawanie bez opieki jest dla każdego człowieka strasznym położeniem, to niezawodnie dla inteligentnego stokroć straszliwszym.

Tym wiedziona uczuciem, Marcelina Halska powzięła myśl założenia w Krakowie Stowarzyszenia nauczycielek z całego kraju, i przy udziale wielu życzliwych osób zostały wypracowane statuta, które Wysokie c. k. Namiestnictwo zatwierdzić raczyło.“

Według tych statutów, Stowarzyszenie składać się będzie z członków rzeczywistych, którzy przez miesięczne wkładki nabywają prawa do wsparć i przytułku w Zakładzie, tudzież z członków honorowych, którzy w sposób moralny lub datkiem pieniężnym popierają cele Stowarzyszenia.

Na czele Zarządu stowarzyszenia stoją pp. *Karolina Krynicka* jako prezydująca i *Marcelina Halska* jako sekretarka. Interesantki zgłaszać się mogą pod adresem: „Marcelina Halska — Kraków, Ul. Sienna Nr. 464.”

Ogłoszenia.

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.